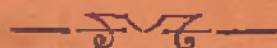
KAPITAN

borysławskich koczynierów.



ZDARZENIA PRAWDZIWE

z dziejów kopalń naftowych w Borysławiu

spisał

Al. Mil.



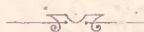
KROSNO.

NAKŁADEM i DRUKIEM W. LENIKA

1891.

Kapitan

borysławskich koczynierów.



ZDARZENIA PRAWDZIWE

z dziejów kopalń naftowych w Borysławiu

spisał

Al. Milerowicz



KROSNO.
Nakładem i drukiem W. Lenika.
1891.



PRZEDMOWA.

W dwutygodniku prowincyonalnym p. n.: „Nowy Kuryer Drohobycki“ *w Drohobyczu wychodzącym, rozpoczął się druk niniejszej opowieści, gdy takowe jednak w miesiącu Maju r. b. przestało wychodzić, przeto i ciąg dalszy tejże został przerwany. A że bardzo wielu bądź ustnie, bądź listownie upominało się o to, by* „Kapitana borysławskich koczynierów“ *wydać w osobnej odbitce w całości, więc czyniąc ich życzeniu zadosyć, wydaję go niniejszem z poczynieniem poprawek co do błędów, jakie w czasie umieszczenia go w powyż nadmienionem czasopiśmie się wkradły.*

Zarazem muszę zapewnić szanownych czytelników, iż zdarzenia tu spisane nie są żadną urojoną fantazyą autorską, lecz oparte na tle prawdziwych faktów, które bądź z ust wiarogodnych, poważnych i żyjących jeszcze osób, bądź od naocznych świadków zostały mi udzielone.

Autor.

I.

Borysław! — Komuż dziś niemal w całej Europie nieznaną nazwa tej miejscowości, która przed dwudziestu kilku laty jako licha wioseczyna ani marzyła o tej sławie? Odkrycie w niej pokładów wosku ziemnego i źródeł naftowych, zaalarmowało świat cały, a z różnych krańców świata, z Anglii, Francyi, Niemiec i t. p. ciągli do tej nowej galicyjskiej Kalifornii ludzie przemysłowi, pragnący tu zdobyć miliony. Jedni przybywali z większymi, drudzy z mniejszymi zasobami, rzucono się z gorączkowym pośpiechem do zakupna parcel gruntowych, które bajecznie płacono a następnie do kopania jam i wydobywania z nich poszukiwanego skarbu. Jednym powiodło się szczęśliwie, drugim los nie dopisał i stracili często resztki swego mienia, — panował ogromny ruch, rzucono się na biedną ziemię borysławską, jakby ją całą przerzucić chciano.

Praca około tych poszukiwań, które wtedy nie, jak później z pewną umiejętnością i ostrożnością, lecz poprostu wybieraniem jam i nie wypompowywaniem ale czerpaniem t. z. kiblami — przedsiębrano, zaliczała się do odstręczających, obrzydliwych i niebezpieczeństwem

grożących. Pominąwszy wstrętnego odoru, jaki t. z. kipiączka wydaje, to ustawiczne obsmarowanie się obrzydliwą, tłustą cieczą, z której nie tak łatwo się oczyścić, nadto częste wypadki kalectwa lub utraty życia jakie przy takiem nieumiejętnym i wszelkich środków ostrożności pozbawionym sposobie poszukiwań — prawie codziennie wydarzać się musiały — były powodem, że okoliczny miejscowy lud wiejski nie bardzo spieszył, mimo zachęty i dobrej płacy, do najmywania się do tych czynności.

A tu kapitaliści trawieni gorączką żądzy dokopania się jak najprędzej poszukiwanej nafty, podnoszą cenę dziennej płacy, wódką i obietnicami rozlicznymi wabią skąd mogą siły robocze, rozsyłają za niemi agentów, by ich choćby z pod ziemi sprowadzili.

Wieść o tak świetnym zarobku obiega lotem błyskawicy wszerz i wzdłuż, powoli ściąga się do Borysławia żądna zarobku gawiedź z najrozmaitszych kątów świata.

Śmiało można twierdzić, że nie było wtedy narodowości w Europie, któraby tu swoich reprezentantów nie miała. Co tylko się zaliczało do tych kategoryi indywiduów, które czy to po opuszczeniu murów więziennych nie mogąc we własnej gminie znaleźć zarobku i być cierpianymi — czy to dopiero świeżo weszli w kolizyę z §§. ustawy karnej, a wskutek tego unikając zdybania się ze stróżami prawa, bądź tacy którzy upadłszy moralnie i materyalnie na najniższy stopień rzucili się już formalnie w przepaść nie ba-

cząc co dalej będzie, słowem, że się tak wyrażę, ekstrakt wyrzutków społeczeństwa zalał Borysław pełnym strumieniem.

Znaleźli się tu rzeczywiście we wymarzonym przez siebie raju; — brak wówczas wszelkiego nadzoru policyjnego nad tą tłuszczą — pozwalał się im tu swobodnie ukrywać i wielu z nich oddawać się dalej z zupełnym bezpieczeństwem swoim niecnym praktykom.

To, li pobieżne naszkicowane, ówczesne tj. początkowe wytworzenie takich smutnych stosunków społecznych w Borysławiu, oparte na prawdziwym stanie rzeczy — przekona czytelnika, że to, co mu dalej opowiemy, nie jest wcale wyrojonem lub przesadzonem, ale w rzeczywistości się działo.

Dla wyjaśnienia muszę tu zarazem naprowadzić — że tych wagabundów, baciarzy i innych rodzaju urwipołciów, których dobry zarobek, brak nadzoru a przez to uchodzenie im niejednego bezkarnie, tem więcej ośmieliło i buty niemałej dodało, — przezwała miejscowa terminologia „k o c z y n i e r a m i“, charakteryzując ich tem słowem w całej ich ujemnej stronie.

Koczynier taki, gotów za parę reńskich a często i bez tego, tylko za dobry napitek, traktament do wszystkiego, tj. do najęcia się do kradzieży, obicia kogoś, a choćby i zabicia go, (a co tylko cenę podwyższało) — był dla każdego porządnego i uczciwego człowieka nie tylko wstrętnym lecz co gorsza i niebezpiecznym do wszystkiego zdolnym, skoń-

czonym łotrem. Sprytniejsi z nich nie chcąc się sami bezpośrednio narażać, bądź nie mając ku temu potrzebnej odwagi, tworzyli sobie z tych koczynierów własne kompanie, bandy, — i nimi broili ku własnej korzyści rzeczy niemal nie do uwierzenia, a jednak niestety prawdziwe.

O jednym z takich to kapitanów bandy borysławskich koczynierów, który doszedłszy podobnymi niecnymi praktykami do grubego majątku i dziś jako taki odgrywa rolę niepoślednią, a co gorsza, że się tak wyrażę, trzęsie nawet całym Borysławiem — traktuje nasze niniejsze opowiadanie.

*

* *

II.

Wieczór był chłodny, dżdżysty, jeden z tych naszej późnej zimnej jesieni, która dla obcokrajowców tak odstraszająca. Egipskie ciemności zawisły swoim ciężkim całunem nad całą okolicą, wszerz i wzdłuż cicho i posępnie jak w pustyni. Zdawałoby się, że w taką odstraszającą szarugę i w taką, jak lud nazywa ćmę, nikt głowy na świat Boży nie wychyli — a przecież słychać na drodze za Hubiczami ku Borysławiu wiodącej chlapanie w błocie i cochwilowe nawoływania: „wio siwa!“ „wio stara!“

W ciężkiej, lipkiej, rozmokłej ziemi tej drogi brnie po kostki jakiś izraelita z podkasanymi od bekieszy połami, w baraniej czapce na głowie i wywija zamaszyście batogiem. Obok niego toczy się wózek ciągniony przez siwą, wychudłą szkapę a na nim kobieta drżąca od chłodu, owinięta lichą chuściną, tuli do siebie małą dziecinę. Niewielka skrzynka czy kufer, na tem porcya siana, na przodzie tłumok w zgrzebnej płachcie pokryty wiązką słomy, — ot i cały pakunek a może i dobytek tej do Borysławia dążącej rodziny.

Niezbadane są wyroki Opatrzności! Kto wie? — Któż to odgadnie? ażali z tej wśród tak przykrej nocy

i tak niewygodnie podróżującej pary wędrowców, nie będzie kiedyś para bogaczów poglądających z góry na każdego, kto tylko nie posiada “pieniądzów“.

Nie uprzedzajmy jednak wypadków! Po długiej żmudnej jeździe dotarł nasz podróżny, którego nazwijmy Geclem, do jednej z karczem, rozpoczynających wówczas osady borysławskie. Na widok tej mety, do której spieszono, szkapa i Gecel zatrzymali się gdyby na komendę, a po chwili szkapa, jej pan i jego żona dość młoda i przystojna Ryfcia, wraz z potomkiem Joslem, znachodzili się już pod gościnną strzechą arendarza Mortka.

Ryfcia trzymając syna na kolanach ogrzewała się przy kominie, na którym bujał wesoły płomień suchych trzasek, i rozmawiała z Mortkową pilnującą obok ognia ustawionych garnków — szkapa chrupała przy wózku skąpą wiązkę siana, która była rzeczywiście lichą nagrodą za taką ciężką drogę, — Gecel zaś sam siedział już w przyległej alkowie z gospodarzem Mortkiem i kilku innymi izraelitami, których tam zastał, a których powierzchowność zdradzała nędzę i ciężką walkę z losem, i toczył żywą rozmowę, wypytując o wszystko i żądając najrozliczniejszych wyjaśnień, których mu nie szczędzono.

W pierwszej dużej izbie leżało na ziemi t. zw. „pokotem“ około 20 najrozmaitszych postaci ludzkich, jedni smacznie chrapiąc, drudzy cmokając lulki. Narady Gecla w alkowie przeciągły się aż poza północ, potem i on z Ryfcią i Joslem znalazłszy kąt

obok szynkwasu na wiązce słomy spoczął po trudach podróży.

Gdy już wszyscy usnęli dobrze a orkiestra gardzieli wydawała najrozmaitsze tony, gospodarz Mortko oglądnąwszy to całe obozowisko dokładnie z szabasówką w ręku — trącił nogą jednego z śpiących.

Ten zerwał się na równe nogi a Mortko kiwnął nań znacząco. Był to wysoki barczysty żyd rudy. takież długie pejsy i długa broda czyniły go zupełnie podobnym do tych, jakich na obrazach męki pańskiej często widzieć się zdarza. Weszli do alkowy i tu szeptem w swoim żargonie wiedli dość długą rozmowę, której różne gestykulacye towarzyszyły. Po tem rozeszli się, a rudy Juda kiwając głową powtarzał sam do siebie:

„A wojler jüng! — von deim werden wir huben a frad.“

Uspokoiło się wszystko, cisza zaległa cały dom — i tylko od czasu do czasu odzywał się kur lub chrupanie siwej, zmęczonej szkapy.

W kilka dni później biega już znajomy nam Gecel po całym Borysławiu, gdyby u siebie w domu — gdyby tu się urodził i od dzieciństwa wychował. Znał wszystkich, kto, skąd, jaki ma kapitał, ile posiada jam, słowem najbieglejszy ajent policyjny musiałby przed nim w tym względzie ustąpić. Zamieszkał w szatrze jakich wtedy z pośpiechu nabudowano mnóstwo, a które raczej szopami polnymi aniżeli budynkami mieszkalnymi nazwaćby należało.

Cały dzień Boży zjawiał się po różnych kątach, to na „Wolance,“ to na „Nowym świecie,“ to na „Moczarach“ — słowem badał teren, oglądał jamy, przyrządy, wypytywał robotników o to i owo — jak ów wódz, który zwiedza wpierw swoje oddziały, którymi ma stoczyć walną bitwę.

Całe wieczory spędzał znów u Mortka lub w szynkowni Jukla, gdzie było zbiorowisko noclegujących tam „koczynierów“ i z tymi już dobrze, niemal w przyjaźni zostając — miał ustawicznie coś do radzenia.

Ryfcia też nie próżnowała, zajęła się bowiem zaraz handlem chleba i bułek, i tak jak widzimy, zainstalowała się ta para w Borysławiu prędko i na dobre.

*

* *

III.

Majster szewski K. z Drohobycza. widząc że tu niebardzo mu się szewstwo opłaca, a będąc dość przedsiębiorczego ducha. postanowił przesiedlić się do Borysław i aitam wobec coraz większego gromadzenia się ludzi rozmaitych klas. próbować szczęścia w swojem rzemiośle.

Jak zamyślił, tak uczynił. A że był trzeźwym, pracowitym i zapobiegliwym. zyskał w krótkim czasie znaczne koło tak zwanych „k u n d m a n ó w" i w krótkim czasie dorobił się majątczku.

Będąc już właścicielem trzech domków niezadowolnił się tem, nie poprzestał próbować dalej szczęścia i szukać większej fortuny. Taka bo to już ta natura ludzka, że gdy nie ma przyrzeka sobie. że bodajby choć tem. czem by się zadowolnił. otrzyma zaś to. wtedy pragnie jeszcze więcej.

Otóż K. niezadowalniając się trzema domami i gotowym groszem, zapragnął zabawić się w nafciarza. zakupił na tak zwanych „M o c z a r a c h" kawałek gruntu, postawił tam szatrę i jął kopać jamę, z której mu skarb kipiączkowy miał wytrysnąć.

Śmiano się z niego, wówczas bowiem było powszechne mniemanie, że na „Moczarach“ nie ma źródeł naftowych czyli „kipiączki“. K. milczał i uparcie kopał dalej. Pewnego dnia obiegła cały Borysław wieść, że K. na „Moczarach“ dokopał się nafty, która bardzo obficie jamę zapełnia. Starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety ciągli formalną procesyą na to miejsce i przekonano się, że wytrwały szewc dokopał się rzeczywiście obfitego źródła nafty. Istotnie było to pierwsze w tym rajonie bogate źródło nafty, a inni idąc za tem odkryciem dopiero później tu kopać zaczęli. K. wąs podkręcał, kipiączką beczki napełniał i marzył już o krociach które go czekały.

A że wtedy był w Borysławiu zwyczaj, że któryś z kapitanów dobrawszy sobie kompanię koczynierów, zajeżdżał w nocy z beczkami do pierwszej lepszej obfitszej w kipiączkę jamy, wybierał takową gdyby z swojej własnej i zabierał jak swoją, właściciel prawny zaś tejże, bądź będąc oddalony od jamy tj. mieszkając w drugim końcu Borysławia, inny zaś widząc taką zgraję „koczynierów“ uzbrojonych w drągi, łopaty i t. p. gotowych do wszystkiego, ceniąc bezpieczeństwo swojej skóry i całość kości, choć widział jak mu jego własność z taką bezczelnością z pod nosa zabierano, musiał milczeć, więc K. urządził sobie w szatrze obok swojej jamy — skarbu, izdebkę i tam nocował pilnując ją jak oka w głowie.

Po kilku dniach posiadania odkrytego źródła, K. umęczony całodzienną pracą, usnął snem błogosławio-

nych. W tem około północy, słyszy, że ktoś trzy razy silnie do drzwi zapukał. Zerwał się a podejrzywając, czy to nie złodzieje dobrali się do jego skarbu i narzędzi, linew, kiblów i t. p. wyskoczył jak oparzony na dwór oglądając się w około. Niewidząc nikogo puścił się ku jamie i tu zdybał jakiegoś wysokiego, tęgiego drągala, który stojąc najspokojniej czekał śmiało jego przybycia.

„Kto tu?, czego tu o tej porze szukasz? po coś tu przyszedł“, zawołał K. jednym tchem do nieznajomego.

„A tobie co do tego?“ odpowiedział zagadnięty.

„Jak to co? co ty myślisz, ja tu właściciel na swoim gruncie“, odparł zgniewany K.

„Taki sam ja tu właściciel jak ty“ rzekł nocny natręt, a jeśli ci szkodzą kości, to ja ci ich na drobniejsze pokruszę“.

K. sądząc iż ma z waryatem lub pijanym do czynienia, nadto pomyślawszy, że nie bardzo bezpiecznie sam na sam z takim drągalem się rozprawiać, zwrócił się ku swej stancyi by zaświecić i ztamtąd dalej obserwować tego nocnego niepożądanego gościa.

Wszedłszy do sieni zamknął za sobą drzwi na zasuwę, a dążąc ku izbie potknął się na jakiejś bryle. Gdy był już w mieszkaniu czyli stancyi, nie mógł przejść ku łóżku obok którego miał świecę i zapałki, co chwilę bowiem utykał na czemś z czego sprawy zdać sobie nie umiał.

Dobiwszy jednak do łóżka, maca po nim i ku przerażeniu swemu widzi, że tam ktoś leży. Zapalił prędko świecę ogląda się w około po mieszkaniu i o dziwo cóż widzi?

Na łóżku. po całej podłodze, nawet na stole, tak samo w sieni leży i spi kilkunastu drabów w najlepsze, gdyby w swojej własnej chacie.

Struchlał! Spieszy ku temu który w łóżku jego leży, trąca i budzi go, ten udaje zaspanego. Po długim termoszeniu go, zrywa się i zaczyna besztać K. co chce od niego, czemu go budzi? Od słowa do słowa, przychodzi do sprzeczki a po małej chwili po kilku dosadnych kułakach i szturkańcach K. wyrzucony na dwór z własnej izby znalazł się wśród ciemnej nocy sam jeden jak palec na dworze, poczem z wewnątrz drzwi zaryglowano.

Tak więc najezdcy, którzy wtedy gdy K. z drągalem obok jamy się rozprawiał, do stancyi wleźli i ją tudzież sień zajęli i do snu nibyto ułożyli, pozostali w zdobytej przez siebie w taki sztuczny sposób szatrze, a K. pobiegł do wójta by żądać pomocy na tych rabusiów.

Ówczesny wójt, a dzisiaj już właściciel dóbr ziemskich wysłuchawszy skargi K. odpowiedział mu ziewając najflegmatyczniej:

„Ta szczo ja tomu poradżu! ta z kim ja tam pidu? Neni je tu szandar u Jukla idit do nioho“.

Biedny zrospaczony K. spieszy do Jukla i tu zastawszy żandarma rozpowiada mu swoje nieszczęście.

Żandarm wysłuchał, głową pokiwał i z kiepska po czesku i niemiecku zapytał:

„Ale se tam nebijut?“

„Nie“ — odpowiada K.

„A! no! to se prosty „besitzstörung“ to ne do mne, to do sudu należyt“.

Nie pomogły prośby, błagania, perswazye. Żandarm trwał przy swojem uparciu i odesłał poszkodowanego do sądu.

Nieszczęśliwy K. przesiedział całą noc w zadumie u Jukla a skoro świt pędził jak wiatr do Drohobycza, do sądu i adwokata.

Tu kazano mu wytoczyć proces prowizoryalny tj. pozew o naruszenie go w spokojnym posiadaniu i używaniu.

I jaki stąd rezultat?

Oto biedny K. prowadził ten proces przez lat 13! Termina za terminami upływały bezskutecznie. Raz tych, drugi raz drugich koczynierów nie można było odszukać, przepadli jak kamień w wodzie. To znów pozwano tych lub owych, następnie pokazało się, że takie imiona i nazwiska nie istnieją wcale na terytoryum borysławskiem. Tego świadka zabił urwany kibel w jamie, tamten znikł i przepadł bez wieści, ów wydalił się z borysławia w niewiadome nikomu miejsce. Trzynastoletni proces doprowadził K. do zupełnej ruiny majątkowej. Sprzedał domy, zadłużył się, a gdy przed kilku laty zmarł ze zgryzoty, nie było go prawie za co pochować, i nie doczekał się rozstrzygnięcia procesu.

A nasz dobry znajomy Gecel, który już wyawanzował na kapitana borysławskich koczynierów i który ten sprytny atak i zdobycie naftowej własności K. tak znakomicie przeprowadził, siedział i siedzi na niej, wyciągnął z niej gruby majątek, który dziś spokojnie używa i z całą arogancyą patrzy na świat Boży, na którym mu tak gładko poszło i na którym mu chyba li ptasiego mleka brakuje.

Ładna Ryfcia nie sprzedaje już bułek, lecz w aksamitach rozpiera się w karle, mały Josel jest już dziś akademikiem i sztucerem pierwszej sorty; do córki, która szwargocze już po francusku i wali w biedne klawisze fortepianowe gdyby dobosz w bęben, nie braknie kandydatów doktorów, bo posag dość znaczny, a dla reszty młodszych pozostanie też jeszcze dosyć, gdyż zacny Gecel nie poprzestał tylko na tym jednym „geschäfcie“.

*

* *

IV.

Pewien stanisławowski handlarz nabył w Borysławiu wąską a długą parcelę gruntową, obok której szerszy o wiele grunt posiadał już nasz znajomy kapitan koczynierski Gecel i w którym kopał wosk ziemny. Po niedługim czasie nabył znów tenże Gecel z drugiej strony grunt tak, że wąski pas ziemi czyli parcela stanisławowskiego posiadacza leżała w środku jego kopalni wosku ziemnego. Biedny stanisławowianin cieszył się niewymownie, iż z obu stron jego posiadłości znachodzą się tak obficie pokłady cennego wosku ziemnego i liczył już z góry na to, że Gecel musi od niego nabyć ten pas gruntu i dobrze mu zań zapłaci.

Odjechał z powrotem do Stanisławowa i czekał cierpliwie dopóki mu Gecel nie uczyni propozycyi odstąpienia czyli sprzedaży tej parceli. Minął czas dłuższy, Gecel się nie zgłasza, natomiast nadchodzi list z Borysławia zawiadamiający go, że jego wąziutka parcela gruntowa znikła z powierzchni ziemi. W początku uważał to za żart, mając bowiem kontrakt kupna i sprzedaży notaryalnie zawarty w ręku, w którym cała ta parcela opisaną była i której granice dokładnie w kontrakcie

określone zostały, nadto mając i szkic czyli mapkę tej parceli według map katastralnych sporządzony, ufał zbyt tym dowodom, by się czegoś obawiać. W kilka tygodni później mając interesa w Stryju zrobił wycieczkę do Drohobycza a stąd do Borysławia, by się swej własności przypatrzyć. Tu przybywszy udaje się na swój grunt; — osłupiał. Chodzi jak błędny w tył i w przód, nie dowierza swoim oczom, pyta sąsiadów a ci mu się szyderczo w oczy śmieją — ostatecznie przekonuje się, że grunta Gecla, które obok t. j. po jednej i drugiej stronie jego pasu gruntowego znachodziły, zeszły się w jeden grunt a jego parcelka czyli smuga gruntowa, tak jak mu doniesiono, znikła istotnie z powierzchni ziemi.

Nie mogąc tego swoim rozumem pojąć, dąży napowrót do Drohobycza i tu przedkłada swoją sprawę adwokatowi. Rozpoczął się proces prowizoryalny, wyjeżdża komisya i żąda wskazania jej naruszonej parceli gruntowej.

Skarżący pokazuje kontrakt, mapkę, to jednak nie wystarcza; trzeba bowiem sporny pas gruntu nie na papierze, ale „in natura“ na ziemi wskazać. Ha! trudna rada! — Parceli spornej „de fakto“ nie ma, mimo że w mapie katastralnej znachodzi się dokładnie odznaczoną, ulotniła się raz na zawsze. — Wobec braku więc przedmiotu spornego, spełzł proces prowizoryalny na niczem, a natomiast wszczął się długi, zawiły, zwykły proces, którego końca i wyniku nie doczekał się biedny stanisławowski spekulant. Każdy

z czytelników zapyta niezawodnie: „ba, a jakże się to stać mogło, że pas gruntu znikł z ziemi?“ — Słuszne pytanie, na które zaraz damy wyjaśnienie.

Oto przebiegły Gecel mając z jednej i drugiej strony swój grunt w którym kopał i wydobywał zeń wosk ziemny, podkopywał się pod ziemią z obu stron równocześnie, przez co całkiem naturalnem prawem ciężenia oba jego grunta ku sobie się ochylając, zeszły się ostatecznie swojemi własnemi miedzami tak ku sobie, że wąski pasek gruntu w środku nich leżący, musiał zniknąć i ku wnętrzu ziemi się schronić.

Nasz sprytny Gecel zaś bez kosztu i ambarasu, bez względu na dotkliwą krzywdę, jaką takim szelmowskim wybiegiem wyrządza współwyznawcy, wydobył z tych szybów wosku ziemnego za grube tysiące — śmiejąc się z tych, których tak po mistrzowsku wywiódł w pole.

*

*   *

V.

Nasz kapitan Gecel miał szczególniejsze szczęście trafiać na pokłady wosku ziemnego i na obficie ropę wydające szyby czyli jamy.

Będąc już bogatym własnym sprytem i usługą swojej kompanii koczynierskiej, której co prawda dotrzymywał wiernie przyrzeczeń i zobowiązań za ślepe wykonanie jego szelmowskich pomysłów, był posiadaczem nie jednej, ale kilku parcel gruntowych w różnych niwach Borysławia położonych.

W jednej z nich znalazł bogate i rozszerzone pokłady wosku ziemnego, a w sąsiedztwie koło tejże miał jakiś biedny izraelita, który ostatkami swego mienia wziął się też do naftowego pomysłu, dwie jamy czyli szyby.

Te ostatnie jednak pogłębiono ledwie na kilkanaście sągów, zostały zalane wodą, trafiono bowiem na silną żyłę źródlaną, która udaremniła dalsze roboty. A że w onczas nieznano jeszcze w Borysławiu przyrządów do wypompowywania wody z szybów i majętniejsi nawet przedsiębiorcy radzili sobie wtedy w takich razach mozolnem i kosztownem czerpaniem wody kiblami, więc biedaczysko ten, który na pogłębienie

tych jam ostatki swego mienia ryzykował, musiał zaprzestać dalszej roboty. Stały więc te dwa szyby zalane, czekając lepszej chwili.

W tem jeden z koczynierów Gecla rozgniewany nań, że go dzień przedtem za jakieś przewinienie napędził z swojej kompanii, przychodzi do Mortka S. posiadacza tychże dwóch zalanych szybów i oświadcza mu, iż za dobrą nagrodę wykryje mu ważną dlań tajemnicę. Mortko S. zaciekawiony dobija targu za 2 złr. i dowiaduje się od niego, że: pan Gecel mający tuż obok tych zalanych jam kopalnię wosku ziemnego, którego pokłady w kierunku tych jam Mortka S. ciągną się obfitem pasmem, podkopał się aż w grunt jego i dalej w ten sposób idzie, iż aż pod zalane szyby Mortka dosięgnie.

Tak ważne doniesienie nie mogło być dla właściciela obojętnym. Przez drugich współwyznawców starał się dociec prawdy, co nie mało czasu i trudu kosztowało. Sprawdziwszy jednak, że doniesienie koczyniera opiera się na prawdzie, podążył do Drohobycza i tu przez adwokata wytoczył Geclowi proces prowizoryalny. Wyznaczono termin do rozprawy prowizoryalnej na miejscu spornego gruntu w Borysławiu, komisya zjechała, a sędzia wzywa skarżyciela, by mu pokazał te dwie zalane jamy czyli szyby — w których posiadaniu i używaniu został przez Gecla naruszony. Mortko S. chodzi jak opętany, kręci się w tył i w przód, ogląda błędnym wzrokiem do koła — widzi inne sąsiednie szyby — a swoich własnych, które jeszcze

wczorajszego dnia miał przed oczyma — nie widzi. — Znikły!

Niewiedząc sam co się z nim dzieje, co się święci i że chyba sam tak zwany (u izraelitów) „dybik“ (zły duch) płata mu figla, przytem chcąc komisyi nacierającej o to pokazać jamę, — wskazuje pierwszą lepszą sąsiednią.

Właściciel tejże podnosi krzyk, hałas, że to jego nie Mortka i udowadnia to zaraz licznemi świadkami, po czem i sam Mortko to przyznaje. Tak było z drugą i trzecią jamą.

Sędzia widząc to bałamuctwo i że opisanych w skardze szybów wcale nie ma, — odjechał z niczem dla braku przedmiotu spornego, nabesztawszy jeszcze skarżącego, że Sąd w błąd wprowadza.

Biedny, zrospaczony Mortko stracił wydane na adwokata, stemple i koszta komisyjne. resztki swojego mienia, a co gorsza, znikły dlań raz na zawsze jego szyby.

Zgryzota, żal i zwątpienie opanowały go do tego stopnia, że zapadłszy w ciężką a długą chorobę (żółtaczkę) po kilku miesiącach pożegnał ten świat przewrotny, przeniósłszy się na łono Abrahama.

Tu musimy wyjaśnić znów naszym czytelnikom sposób, w jaki pomysłowy Gecel uprzątnał te dwie jamy czyli szyb biednego Mortka S. — Oto w nocy poprzedzającej dzień przybycia komisyi sądowej, spędził kompanię swoich koczynierów i w przeciągu kilku godzin zasypał je doszczętnie a całą powierzchnię zarównano tak dokładnie, że i najbystrzejsze oko

nie byłoby w stanie rozpoznać miejsc, w których te jamy istniały.

A nasz krociowy pan Gecel wyciągnął i z tej krzywdy bliźniego tysiące nie troszcząc się wcale o to, ażali to uczciwie lub nie, — a zacierając ręce wesoło urąga światu i podziwia sam swoją wielkość!

* * *

VI.

Motio N. z Liska (w górach sanockich), zjawił się w Borysławiu z gotówką 2.000 złr. w. a., by w tej krainie tylu złotych obietnic i nadziei, szukać szczęścia na polu przemysłu naftowego. Właśnie wtedy niejaki Jurko G., który już swoje parcele gruntowe w Borysławiu wyprzedał po bajecznie wysokich cenach, wskutek czego się rozpił, sprzedawał ostatnią z nich żądając za takową (zaledwie 1/4 morga wynoszącą) 1.500 złr. w. a. — Nasz Gecel, który od niego nabył już w około leżące i na nich wydobył grube grosze za kipiączkę (naftę), — czychał tylko, by jeszcze i tę ostatnią tanim kosztem od niego wykpić. W tem wpada doń o północy znany nam już z wstępu niniejszych opowiadań rudy Juda, — jeden z najbezczelniejszych koczynierów i prawa ręka w szelmostwach Gecla — a przebudzonemu swemu szefowi raportuje, — że jakiś świeży zawołoka z Liska, Motio N. — nabył właśnie tę upragnioną ostatnią parcelę od Jurka G. za cenę 1.200 złr. w. a. — dał mu już zadatek 500 złr. i piją u Brańci mohorycz.

Gecel słysząc to, podumał, pokiwał głową, a potem wziąwszy Judę do małego odosobnionego pokoiku,

który był niejako jego tajnym gabinetem, radził z nim sam na sam niemal do rana. — Skoro świt Gecel siadł i wyjechał, — gdzie i zaczem niewiadomo, — zaś rudy Juda z uśmiechem zadowolenia kręcił się to tu, to tam.

W kilka dni po tem Jurko G. zmarł nagle. Jedni twierdzili, że na zapalenie, drudzy, że się w nim wódka zapaliła, gdyż jęczał i wołał: „tu mene pałyt", a znów inni złośliwi utrzymywali, iż mu rudy Juda takim dobrym winem dogodził, iż z niego aż na tamten świat wywędrować musiał. Lecz stało się. Nie było skarżyciela więc i sądu być nie mogło, pochowano biednego Jurka, od którego aż na tamtym świecie się dowiemy, dlaczego tak raptownie przeniósł się w krainę lepszej przyszłości.

Zaledwie minął tydzień od pogrzebu Jurka G. — wrócił już nasz Gecel i zastał Motia N. budującego jakąś szatrę na parceli od Jurka nabytej, zabierającego się do kopania jam czyli szybów. Narobił krzyku jakiem prawem śmie to brać w posiadanie, co on od zmarłego Jurka przy świadkach kupił i za co mu 1.300 złr. w. a. wypłacił.

Przestraszony Motio legitymuje się pisemnym kontraktem kupna i sprzedaży, — odwołuje się daremnie na świadków, — to nic nie pomaga i Gecel ze swoją bandą koczynierów nabił i napędził biedaka z jego najuczciwiej nabytej własności.

Wszczął się proces, w którym Gecel udowodnił przysięgą aż sześciu koczynierów, że wobec nich

„ustnym“ kontraktem kupna i sprzedaży nabył na sześć tygodni przed śmiercią sprzedawcy Jurka G. tę parcelę za 1300 złr. a. w., że mu takową zaraz gotówką do rąk całkowicie zapłacił i że mu zaraz wtedy wobec tych samych sześciu świadków koczynierów, nieboszczyk oddał ten grunt w fizyczne posiadanie i używanie. — Wobec dowodu aż sześciu zaprzysiężonych świadków, — naturalna, że Sąd musiał grunt sporny przyznać Geclowi, — mimo, że choć każdy się śmiał, wiedząc co to taka przysięga najętego do niej koczyniera ma za wartość, to jednak wobec braku dowodu i skargi, że była fałszywą — przez sąd przyjętą i uznaną być musiała.

Można sobie wyobrazić rozpacz Motia N. gdy mu w tak podstępny, nikczemny sposób jego własność wydarto, — a wzmogła się ona tembardziej, gdy własnemi oczyma widział, jak Gecel trafił na tej jego parceli na bogate źródło nafty, — które mu dziennie setki do kieszeni przysparzało.

Nie mogła biedna ofiara tak rafinowanego podstępu i podłości przemilczeć, — odgrażał się więc Geclowi — kilka razy napadł nawet swego zgubiciela z potężnym kosturem w ręku, — a to spowodowało za staraniem Gecla, przymusowe wydalenie Motia N. do gminy przynależności tj. do Liska.

W kilka tygodni później czytaliśmy w „Gazecie Narodowej“ w „kronice“ wiadomość z Liska podaną tej treści: „Dziś znaleziono w Sanie zwłoki topielca — izraelity, a po bliższem zbadaniu okazało się, że to tutejszy były handlarz zboża Motio N. — Straciwszy

resztki mienia na spekulacyach kopalnianych w Borysławiu, — został tu odstawiony jako pozbawiony wszelkich środków utrzymania." — Czy żal i rozpacz za utraconym skarbem borysławskim, — czy też prosty wypadek rzucił nieszczęśliwego Motia w objęcia zimnych fal Sanu. — Bogu jednemu wiadomo. Gecel usłyszawszy to, zatarł ręce i z całą bezczelnością odezwał się do otaczających go: „Strafe Gottes! für die napaść auf mech."

Ciekawe i ciężkie zadanie będzie miał kiedyś obrońca Gecla — a straszną i gorzką będzie kiedyś jego dola na sądzie ostatecznym, — jeźli rola oskarżyciela — prokuratora i dr. obrońcy w sferach niebiańskich w czasie tegoż sądu ostatecznego będą zastósowane. — Na tym świecie bowiem, — Gecel już za gruba i za praktyczna ryba, by ją na lada wędkę pochwycić można.

*
* *

VII.

Ankieta złożona z najbieglejszych prawników całego państwa austryackiego nie byłaby jeszcze w stanie rozpoznać się należycie w interesach borysławskich, tyle w nich gmatwaniny, podstępnych li na oko obliczonych kruczek, krętactw i przebiegłości rafinowanego szelmostwa — iż istotnie w tym labiryncie i najzdolniejszy zgubić się może i musi. — Na dowód tego przytoczymy tu jeden taki wypadek świadczący o prawdziwości naszego twierdzenia a dowodzący, iż nasz kapitan koczynierski Gecel i na tem polu był i jest niezrównanym.

Niejaki Michał K. wieśniak borysławski wysprzedał już wszystkie swoje parcele gruntowe pod jamy czyli szyby naftowe, tak, że niemiał już ani piędzi ziemi do pozbycia. Jednego poranku zjawia się u niego znany już z poprzednich rozdziałów rudy Juda, prawa ręka Gecla i proponuje mu, by tenże odsprzedał jeszcze to, co drugim dotąd nie odstąpił i ofiaruje mu za to dość pokaźną kwotę.

Michał wytrzeszcza oczy jak na wilka i pyta: „Ta szczo ja wam maju prodawaty, koły szczom mał to uże wsio wid mene wykupyły.“

„Ny“ — rzecze Juda „ta to szczo wy druhym prodały to ja ne hoczu, meni daste łysz kontrakt na to, szczo inny ne kupyły.“

„Ba“ — odpowiada Michał, „koły ja uże niczoho ne maju bom wsio prodał.“

Juda jednak umiał tak wymownie rzecz przedstawić i dotąd wieśniaka nudzić, że ten ostatecznie dał się nakłonić i zawarł z nim kontrakt: że wszystko z swoich posiadłości gruntowych w Borysławiu, które innym nie sprzedał, jemu na własność odstępuje.

Uradowany Juda tym sukcesem jak gdyby istotnie coś nabył, biegnie z tym kontraktem do swojego szefa kapitana Gecla — a ten przybiera sobie swojego szwagra i na podstawie tego kontraktu robią z Judą nowy kontrakt tej treści, że ten ostatni odstępuje swoje prawa nabyte od Michała K. co do tych gruntów „na Wolance“, które dotąd nikomu niesprzedane Geclowi, — zaś do tych „na Moczarach“ jego szwagrowi, a co do innych zatrzymuje takowe dla siebie.

Kontrakta te należycie sporządzone, podpisy zalegalizowane, należytość prawna od nich opłacona, stanowią już w ręku przebiegłego Gecla dokumenta wartościowe, które mu tysiączki przysporzą.

Zapyta każdy, cóż dla kogoś trzeciego mogą mieć za znaczenie i wartość podobne „de facto“ bezwartościowe kontrakta. — Rzecz prosta, którą zaraz wyjaśnimy.

Oto Gecel dowiedział się, że nadinżynier kolei północnej p. P. bawił w Borysławiu celem zbadania

możności dostawy dla kolei północnej Ferdynanda odpowiedniej, znacznej ilości nafty do oświetleń kolejowych, — dowiedział się nadto, że tenże p. P. zdradził się z zamiarem zakupna na własną rękę większych parcel w kilku niwach borysławskich i wydobywania nafty we własnym zarządzie.

Spieszy więc do p. P. i proponuje mu, by te obszary nabyte od Michała K. nabył na ten cel, a to tembardziej, gdy na innych od tegoż K. nabytych gruntach już istnieją jamy wydające obficie kipiączkę, więc nie ulega wątpliwości, że na tym samym terenie nie może doznać zawodu.

Przezorny p. P. zgadza się na to, zastrzega sobie jednak, że wpierw musi zasięgnąć rady i zdania swojego adwokata. — Gecel się zgadza a p. P. udaje się z tą sprawą do wiedeńskiego sławnego prawnika (i autora dzieł prawniczych), dr. G. przedkładając mu dotyczące kontrakta.

Dr. G. na pierwszy kontrakt rudego Judy z Michałem K. oświadcza — to wprawdzie kontrakt nabycia jest, lecz nie ma bliżej określonego przedmiotu kupna. Po przeczytaniu zaś następnych kontraktów Judy z Geclem i jego szwagrem — zmienia dr. G. zdanie i mówi: „to już co innego.“

Tu są już bliżej określone przedmioty sprzedaży, jest podział między trzech z oznaczeniem niw w których położone, zatem stanowi już jakąś podstawę.

Wskutek tego i znając Borysław nietylko z map katastralnych lecz i z swej bytności w nim, kupuje

p. P. od Gecla jego szwagra i Judy te prawa własności za grubą kwotę, którą im zaraz gotówką wypłacił.

Gecel obłowiony znów tysiączkami śmiał się z wyprowadzonego w pole p. P. — który przekonawszy się później o tem oszustwie ropoczął proces, którego końca nie mogąc się doczekać, plunął na całą sprawę wywożąc z Borysławia do Wiednia nie najlepsze wyobrażenie i nie najmilsze wspomnienia o „geschäftsmanach“ borysławskich.

*
* *

VIII.

Jedną z najczarniejszych zbrodni jaka ciąży na zbyt elastycznem sumieniu p. Gecla, — to straszna tragedya. której ofiarą padła nieszczęśliwa Nastunia G. biedna wdowa, matka pięciorga małych dziatek.

Po mężu odziedziczyła li zwykłą chatę włościańską z kilkuzagonowym ogrodem, — sama zaś miała dany jej na wiano niewielki kawałek gruntu lichego, którego obszar równał się nie całej połowie morgu.

Gecel będąc wtedy jeszcze nie zbyt zasobnym, chciał jakimbądź sposobem stać się właścicielem tej posiadłości biednej wdowy t. j. tego półmorgowego gruntu, rozumie się jednak, że chciał przyjść do tego swoim sprytem a nie groszem, którego wówczas jeszcze niewiele posiadał.

Rudy Juda dotąd nachodził Nastunię, dotąd ją nudził i przekonywał, aż ta zdecydowała się ostatecznie sprzedać Geclowi ten grunt i w tym celu z tymi dwoma pojechała do Drohobycza, by tu pisemny kontrakt zawrzeć i pieniądze otrzymać.

Kontrakt kupna i sprzedaży spisany z wszelkiemi formalnościami a Gecel wypłacił Nastuni G. wobec świadków ugodzoną cenę kupna i sprzedaży w kwo-

cie 580 złr. a. w. — z której go też pokwitowała. Zrobiwszy tak świetny interes — jakżesz można obejść się bez mohoryczu. Udano się zatem zaraz do szynku na wino, popijano i rozmawiano wesoło aż do samego zmierzchu.

Gdy było już ciemno, Gecel z Nastunią i Judą wsiedli na wózek wracając do domu tj. do Borysławia. Tu przybywszy zagościli wprost do karczmarza Mortka, by po tak uciążliwej podróży nieco odpocząć i znów to o tem, to o owem pogwarzyć. Pierwszy pożegnał wszystkich Gecel i zostawiając Judę z Nastunią u Mortka z innymi tam nocującymi, odjechał swoim wózkiem do domu. Juda jął wtedy przedstawiać jej jaki świetny zrobiła interes, radził jak ma postąpić, by pieniądze nie poszły na marne. słowem umiał biedną gadatliwą kobiecinę tak ująć, iż mu kilkanaście złr. w. a. dała faktornego za zrobienie tego interesu, poczem podchmielona nieźle opuściła karczmę udając się do domu, a rudy Juda wraz z drugiemi towarzyszami zajęli swoje legowiska zasypiając po dziennych trudach.

Było już po północy, gdy Nastunia wracała bliższą drogą przez tak zwane ścieżki do domu. Z obu stron tej drożyny to tu, to tam w niedalekim oddaleniu były liczne szyby czyli jamy, jedne głębsze. drugie płytsze,— z jednych czerpano kipiączkę, drugie zaś zalane wodą lub próżne, lecz całkiem dla braku kipiączki zaniechane — czekały na lepsze czasy.

W około głucho i ciemno, Nastunia znając dobrze tę drogę, którą z swoim nieboszczykiem mężem Kiryłą tylekroć z miasta, lub karczmy wracała — kroczy śmiało naprzód. W tem z boku przyskakuje do niej jakiś cień rzuca się na nią dusząc jedną ręką za gardło, a drugą wyciągając z poza tak zwanej pazuchy chusteczkę, w której otrzymane od Gecla za grunt pieniądze były zawinięte. Mimo, że napadnięta ofiara była, jak to już wyżej powiedziałem, podchmieloną czyli podpitą, — widząc jednak co jej grozi oprzytomniała nieco i jęła z napastnikiem się borykać. Walka ta jednak nie trwała długo, — po kilku minutach już przeszył powietrze krótki straszny, rozpaczliwy krzyk kobiecy, którą morderca wtrącił do szybu czyli jamy na kilkadziesiąt łokci głębokiej.

Po kilku dniach zaczęli się ciekawsi dopytywać co się z Nastunią stało? Każdy tłómaczył jej zniknięcie po swojemu — a Gecel, który miał świadków, iż ją zostawił w karczmie Mortka a sam do domu odjechał, jak również i rudy Juda tyle towarzyszy za sobą, że się wcale nie wydalał lecz spać położył, — czy mieli i potrzebowali się czegoś obawiać?

Jedna tylko jakaś stara kumoszka kiwała na to głową i szeptała na ucho niektórym swachom, że Paraśka służąca u Gecla widziała, że tenże wrócił tej nocy bez czapki, okropnie blady, z rozczochraną głową, podartą na piersiach koszulą i podrapaną twarzą.

W piętnaście lat później nabyło jakieś zagraniczne Towarzystwo cały szereg szybów obok drożyny na

tak zwanych ścieżkach i rozpoczęło je dalej pogłębiać. — W jednym z nich znaleziono szkielet ludzki, po którego wydobyciu poznano, że to szkielet kobiecy.— Przypomniano sobie wtedy tajemnicze zniknięcie biednej Nastuni, — której małą dziatwę litościwi między siebie rozebrali. A zresztą któż miał dochodzić krzywdy dziatek i śmierci ich nieszczęśliwej matki?— Na ziemi ni bliższej rodziny ni świadków tej zbrodni — więc tylko temu, który Stwórcą wszechświata i sędzią najsprawiedliwszym pozostawiono wykrycie i ukaranie mordercy Nastuni!

*
* *

IX.

Rudy Juda, ta prawa ręka mistrza Gecla, ten główny opryszek bandy koczynierskiej — uskładał już sobie trochę grosza, którym jego szelmostwa ostatni okupywał, a który co prawda pod tym względem był nie bardzo hojnym. — Juda postanowił zatem zakończyć już raz z Geclem swój obrachunek, wymódz na nim za swoje tak cenne usługi znaczniejszą kwotę, do której dodawszy swoją uzbieraną, nabyć za takowe gdzieś w oddali jakąś realność i tam już spokojnie zakończyć swój tak zasłużony dla ludzkości żywot.

Do postanowienia tego przyczyniły się wiele i inne pobudki, a mianowicie, że Juda poznawszy służącą w piwiarni Josia, 20-letnią Małkę, (której kształt mimowoli dynię przypominał) zapałał ku niej gorącym afektem i powziął stały zamiar ożenienia się z nią, — a powtóre ogólne szemranie po całym Borysławiu przeciw niemu zaczęło go już nieco niepokoić, więc bądź co bądź należało się z widowni ulotnić.

Udał się zatem do Gecla i przedstawiwszy rzecz zażądał od niego tytułem nagrody i zobowiązując się do wiecznego milczenia 5.000 złr. a. w.—W pierwszej chwili Gecel na tak wysokie żądanie otruchlał, —

prędko jednak opamiętał się i rozważył, że odmówić trudno, jeśli się nie ma na to wystawić, by Juda którego dobrze znał, iż do wszystkiego zdolny, nie naraził go na największe niebezpieczeństwa.

Targowali się długo, uparty Juda jednak trwał stale przy swoim będąc pewnym swej przewagi i stanęło ostatecznie na tym, że Gecel przystał na to odczepne raz na zawsze we wysokości 5.000 złr. a. w. jednak pod tym warunkiem, iż oba pojadą do rabina w Złotym Potoku i tam Juda da rękę i złoży dotyczące zobowiązanie. Jak uradzono tak się też i stało. W trzy dni później Juda opuścił Borysław, głosząc między znajomymi, że przed weselem z Małką jedzie do swej rodziny w Stanisławowskie, zaś Gecel opowiedziawszy kilku osobom o nagłym interesie powołującym go w sprawie dostawy wosku do Wiednia, — wyjechał też drugiego dnia, — a wieczorem zdybał się już w Stryju z Judą, który tu nań oczekiwał.

Na kilka godzin przed wyjazdem Gecla, opuściło też czterech drągali, koczynierów Borysław, — a w Drohobyczu najàwszy za dobrą zapłatę parokonny wóz, udali się pospiesznie prywatnemi drogami za Stryj. Nadmienić tu trzeba, że z tymi czterema koczynierami odbył Gecel poprzedniej nocy jakąś długą konferencyę.

Ciemna noc październikowa, pokryła całą podgórską okolicę — a po rządowym gościńcu wiodącym przez duży las, ciągnął się powoli pod górę wózek jednokonny, na którym siedzi nasz Gecel i Juda. —

Juda cmoka wesoło na konia i powozi, — a Gecel spuścił na piersi głowę i drzemie. W tem z jednej i z drugiej strony wyskakuje z fosy po dwóch tęgich, wysokich drabów z drągami i siekierami, a zaczem Juda miał czas krzyknąć, — zarzucony mu na szyję sznur wlókł go już w głąb lasu. Tam bez najmniejszego hałasu kilka uderzeń obuchem siekiery roztrzaskały czaszkę i położyły kres życiu tego, który sam taką bronią wojował i od takiej broni też zginął.

Gecel najspokojniej jak gdyby nic nie zaszło, obrócił koniem w boczną drogę — snać lżej mu się na sercu zrobiło, że najniebezpieczniejszego świadka swoich zbrodni się pozbył.

Czterech rabusiów-koczynierów, którzy tę operacyę tak cicho i zgrabnie wykonało nie wrócili już więcej do Borysławia, — w kilka lat później widziano ich jako wyrobników w Besarabii.

Nasz Gecel dopiero po trzech tygodniach powrócił z Wiednia, gdzie był istotnie i gdzie się już w elegancki garnitur niemiecki zaopatrzył. Był w bardzo dobrym, wesołym humorze i rozpowiadał o świetnych interesach jakie z kilku firmami co do dostawy nafty i wosku pozawierał.

W miesiąc po tym wypadku czytaliśmy w „Gazecie Lwowskiej“: Przy gościńcu rządowym wiodącym przez lasy Komarowskie. — spełniono .... zeszłego miesiąca zbrodnię morderstwa na nieznanym izraelicie słusznego wzrostu, silnej barczystej budowy, o dużej, rudej brodzie — przy prawej ręce miał mały

palec do połowy ucięty. Brak wszelkich papierów i pieniędzy przy zamordowanym, wskazuje, że morderstwo to złączone z zbrodnią rabunku. Najściślejsze poszukiwania c. k. żandarmeryi i dochodzenia sądowe za sprawcami tej zbrodni pozostały dotąd bez skutku.“

Jedna z upadłych moralnie kobiet, Kasia Z — która po przejściu różnych najromantyczniejszych faz życia, wyawansowała w końcu na dulcyneę koczynierską w Borysławiu, — miała w jednym z tych 4 morderców, o których wyżej wspominamy, — swojego ulubieńca Józefa H. — Ten zatęsknił w Besarabii za wierną mu Kasią i przysłał jej na drogę pieniądze by doń przybyła. Podążyła tam. Po 3 latach jednak wróciła do Borysławia już jako wdowa po Józku H. i oddała się zatrudnieniu, na którem zwykle kończą podobne nimfy. t. j. została wodonoską. Jej to na śmiertelnym łożu zeznał Józef całą tę operacyę dokonaną z 3 towarzyszami na rudym Judzie — a od niej przeszła ta wiadomość do nienajlepszych przyjaciół Gecla. Od niego to więc mamy ten fakt wyświecony a podajemy to źródło dla tego, by nas nieposądzono, że piszemy z fantazyi a nie na prawdziwych danych oparci.

*

* *

X.

Ciężko i smutno żyć biednemu na tym złym świecie. A o ileż ciężej i smutniej temu, kto zaznawszy trochę lepszego bytu, później czy to przez złych ludzi, czy przez jakieś prześladowanie losu lub przez własną winę spadnie w kałużę ostatniego zapomnienia i nędzy. Do rzędu takich należał niejaki Ludwik P. syn oficera sztabowego, który za życia rodziców pieszczony i we wszelkich wygodach chowany, później ujrzał się biednym opuszczonym sierotą, — którego przyjaciele ojca umieścili w zakładzie naukowo-wojskowym, skąd po wielu latach wyszedł oficerem. — Młoda, żywa, niespokojna krew młodziana, trzymana przez tyle lat w karbach karności wojskowej, — poczuwszy swobodę, jęła się burzyć, upominać o prawa wolności i rozkoszy młodemu wiekowi właściwe a to miało ten skutek, że po wielu karach, śledztwach i t. p. — pozbawiono go rangi oficerskiej i wydalono z pułku. — Z desperacyi oddał się nałogowi kieliszkowemu i rzucił się na pole wszystkim zbakierowanym karyerom właściwe t. j. na dyurkę. — Tu zbyt często przypominając sobie, że

przecież ludzie na świecie żyją jakoś wesoło, — dlaczegóżby i on nie miał sobie czasem zrobić *„einen lustigen Tag“* — więc na sprawienie sobie takiego, przeskrobał coś, tu z markami stemplowymi, tam z kosztami sądowymi, ówdzie z aktami — a to skończyło się zawsze na wydaleniu, przy ostatniem nadużyciu zaś w sądzie w S. odpokutował nawet takowe kilkutygodniową kozą. — Uwolniony z niej błąkał się nieszczęsny niemogąc znaleść zajęcia i tak dotarł do Borysławia, gdzie przypadek sprowadził go z naszym kapitanem Geclem, a ten poznawszy się na jego talentach zrobił u siebie nadzorcą kopalni, — wiedział bowiem, że będzie z niego miał niemałą pociechę. Z początku jako nadzorca, potem *quasi* jego sekretarz stał mu się wkrótce niezbędnym i obydwa mieli zawsze coś do tajemnego konferowania. Tak trwało lat kilka, po upływie których exoficer Bóg jeden wie z jakiej nowej aprensyj jął znów zapamiętale topić robaka w kieliszku. Raz dobrze podpity jawił się u Gecla w jego kancelaryi i żądał od niego znaczniejszej kwoty pieniężnej. Gecel się sierdził i odmawiał, ten znów nalegał i groził zdradzeniem jakichś tajemnic, — po czem długo szeptali, aż w końcu Ludwik P. wyszedł zaperzony a Gecel jęknął i padł na ziemię omdlony. Tak znaleziono go po dość długiej chwili i zaledwie zdołano go przy pomocy lekarza ocucić.

Co między niemi zaszło, jaka straszna groźba mogła postronkowe nerwy Gecla tak rozstroić — Bogu jednemu wiadomo.

Na drugi dzień jednak nasz Gecel choć blady wyszedł z domu i udał się wprost do kopalni na Wolance. Tu zawołał niejakiego Wojtka, mazura, robotnika i mówił z nim na uboczu dość długo a cicho, poczem tenże Wojtek z kiblem i drążkiem na ramieniu puścił się zaraz do drugiej kopalni Gecla, leżącej w drugim końcu Borysławia, która stała pod nadzorem Ludwika P. Tegoż samego dnia po południu odwiedził Gecel exoficera i kopalnię, którą dozorował, a wziąwszy go na bok konferował z nim dość długo, po czem podawszy sobie rękę w najlepszej zgodzie się rozstali, widoczna zatem, że się już porozumieli i pojednali.

Następnego dnia zaalarmowała cały Borysław wieść, — że w kopalni Gecla zginął dozorca, że linwa pękła a on wpadł do jamy i zabił się. Gecel pospieszył na miejsce, gdzie już masa ludzi się zebrała a przed nimi leżał trup Ludwika P. — z rozbitą głową i połamanemi kościami, na boku zaś stał Wojtek blady, drżący i dłubał coś koło walca windowego.

Zjechała komisya sądowa, spisano protokóła oględzin lekarskich, skonstantowano śmierć Ludwika P. — a gdy dwóch powołanych rzeczoznawców orzekło, że linew pękła, urwała się i wskutek tego nieboszczyk się zabił, złożono sprawę jako bezprzedmiotową do aktów, — i tylko krzywy Jurko robotnik stary, który jak to mówią zjadł zęby przy wydobywaniu nafty, kiwał głową i mruczał pod nosem: *„Oj łyna ne pukła, ałe ju wrazy syn mazur peretieł.“*

Tak skończył swój mizerny żywot exoficer Ludwik P. — a którego wybawienie z tej niedoli ziemskiej ma zawdzięczyć temu dla którego był wiernym sługą i doradcą, dla którego popełnił nie jedno złe z krzywdą drugich i obarczeniem własnego sumienia.

*
* *

XI.

Między innymi ciekawymi nadużyciami jakich się w Borysławiu dopuszczano w początkach jego rozwoju, — niech służy następujące zdarzenie.*)

Mykieta Z. niegdyś stosunkowo dość zamożny gospodarz borysławski, później wskutek setek otrzymanych za grunta pod kopalnie naftowe oddany pijaństwu, — miał z Joslem S. zatarg o dość znaczną parcelę gruntową, który oparł się o sąd drohobycki i tam w zwykłej drodze procesu był prowadzony. Obie strony stawały już trzy razy na termin a Josel powziął od swojego adwokata wiadomość, że lepiejby było z Mykietą Z. się pogodzić, gdyż sprawa przybiera dlań niepomyślny kierunek. Trafiało to do jego przekonania tembardziej, gdyż spieszno mu było posiąść ten grunt, z którego spodziewał się osiągnąć ogromne zyski, wszyscy bowiem znawcy utrzymywali zgodnie, że w miejscu tem znajdują się obfite źródła naftowe.

---

*) O fakcie tym, tj. o tej komisyi, którą tu podaję, — wspominał już w publicznym odczycie p. W. Jaworski inżynier c. k. starostwa w Samborze. Przyp. aut.

Proponować chłopu zgodę nie chciał, przeczuwając, że w oncza̧s Mykieta tembardziej w uporze wytrwa a w najlepszym razie tem cięższe dlań warunki poda. Zwyczajem borysławskich przemysłowców więc przemyśliwał nad sposobem wyprowadzenia przeciwnika w pole i znalazł go.

Oto pewnego dnia zjeżdża na miejsce do Borysławia jakiś jegomość mianujący się sędzią, w urzędowej czapce z pisarzem i posela Mykiecie i Joslowi wezwania, by się przed nim niezwłocznie stawili. Strony się jawią. p. sędzia im ogłasza. że zjechał na miejsce celem dokładnego opisania gruntu spornego, poczem wyrok wydany zostanie. Najpierw rozpoczęto spisywać protokół z Mykietą Z. W czasie tej czynności p. sędzia, który stronom oświadczył. że dopiero od kilku dni został ze Lwowa do Drohobycza przeniesiony i właśnie ten proces między innymi ma w swoim referacie, — zaczął namawiać i nakłaniać. by się pogodzili. koszta stempli, adwokatów i tej komisyi będą duże, a kto wie, na czyją stronę sąd orzecze.

Josel S. udał pokornego i oświadczył, że on się zdaje „na jasnego sędziego“ poczem wyszedł z pokoju. w którym tę komisyę odbywano. — Wtedy obrócił się sędzia do Mykiety i rzekł doń te słowa:

„Nie chciałem wam gospodarzu mówić tego przy żydzie, ale wasza sprawa bardzo źle stoi. Musicie przegrać i w dodatku znaczne koszta zapłacić mu. a to was zrujnuje. Radzę wam szczerze pogodzić się z nim, póki jeszcze nie wie jak wypadnie, bo potem

nie zechce. Ja pociągnę na waszą stronę, przycisnę go krzykiem i groźbą i tym sposobem mogę was wyratować z tego nieszczęścia.“

Biedny włościanin wzdychał, skrobał się w głowę, dumał, — wreszcie przekonany dalszymi wywodami i ujęty dobrocią sędziego, odezwał się „t a n a j b u d e!“

Wtedy kazał pisarzowi zawołać Josla stojącego na podwórzu i namawiać do zgody. Ten się ociągał, remonstrował, przedstawiał swoją krzywdę i t. p., lecz gdy sędzia jął doń coraz ostrzej i coraz głośniej przemawiać, poddał się.

Zawołać wójta i dwóch świadków zadysponował sędzia, i po małej chwili sprowadzono ich z sąsiedniego szynku.

Spisano w dwóch egzemplarzach akt ugody, z których, każdej stronie po jednym egzemplarzu wręczono;— zaopatrzono w marki stemplowe, pan wójt, dwóch świadków i strony podpisali takowy i wyciśnięto na nim pieczęć gminnego urzędu, następnie wyszli na grunt sporny i w obecności wójta i świadków Mykieta oddał go zaraz Joslowi we fizyczne posiadanie i używanie. Dokument ten spisano w tej formie, że obie strony sporne ugodę tę zawarły dobrowolnie w obec zwierzchności gminnej i dwóch uproszonych świadków.

Josel zatarł ręce z radości, Mykieta pił trzy dni za pieniądze, które mu ugodą powyższą w kwocie 54 złr. w. a. przyznano i przy oddaniu parceli grun-

towej wypłacono, — a robotnicy nowonabywcy pracowali już tam bez przeszkody. — W trzy tygodnie później zdybał Mykietę na targu w Drohobyczu adwokat, który prowadził mu proces o tenże grunt i pocieszył go, że sprawa dobrze stoi i Josel przegrać musi. „T a s z c z o m e n i z t o h o k o ł y m u s ę d z i a i c i ł a k o m i s y a g r u n t u ż e w i d d a ł y“, odparł zagadnięty a zdumiony taką odpowiedzią adwokat zawołał Mykietę do swojego bióra i tu dopiero po dokładnem wybadaniu pokazało się, że biedny Mykieta Z. padł ofiarą wyrafinowanego oszustwa, a cała ta komisya była prostą komedyą.

Sprytny Josel wyszukał sobie gdzieś w okolicy jakiegoś upadłego moralnie inteligentę, który zeszedł do roli pokątnego wsiowego pisarza i ten to zjechał z przybranym pisarzem do Borysławia, zaimponował urzędową czapką i odbył tą całą wyż opisaną komisyę.

Naturalnie, że rzecz całą wzięto na drogę sądową, pociągnięto winnych do odpowiedzialności, którą jednak prawnemi wykrętami umiano sprowadzić do nader łagodnych rozmiarów, biedny Mykieta Z. jednak poniósł przytem znaczne straty. Josel bowiem wlazłszy raz w posiadanie i używanie gruntu, czerpał zeń obfite dochody z jam tamże wybranych i wydających hojnie kipiączkę.

Długi i kosztowny proces cywilny o unieważnienie tej ugody rozpoczęty, ciągnął się lata, — a gdy Mykieta podupadłszy materyalnie zupełnie nie był

w stanie go popierać, — zaś zastępca prawny Josla różnemi sztuczkami paragrafowymi przeciągał sprawę w nieskończoność, — nie doczekał się końca i zmarł w szpitalu drohobyckim. Dalsi krewni po zmarłym Mykiecie, będący prawnymi spadkobiercami jego, ludzie biedni, żyjący z dziennego zarobku, nie byli w możności ciągnąć kosztowny proces dalej a zresztą nie mieli do tego i chęci, widząc jak na tem wyszedł ich spadkodawca.

Takim sposobem utrzymał się przemyślny Josel przy tem gruncie do dziś dnia, wyciągnął zeń tysiące za wydobytą naftę i ani mu w głowie pomyśleć, iż się spanoszył ciężką krzywdą wyrządzoną biednemu Mykiecie.

*
*   *

XII.

Kapitan Gecel wzbogaciwszy się sposobami w poprzednich rozdziałach opisanymi, doszedłszy już do własnych fabryk, tj. destylarni naftowych i „szmelzu“ (topiarnia wosku ziemnego) nadto należąc do współki fabryk różnych wyrobów z płodów borysławskich kopalń, których wiele w Drohobyczu i okolicy Borysławia powstało, czując się od wszelkich niebezpieczeństw wolnym a w kieszeni suto uposażonym, — jął wieść życie wygodne, pańskie, zaspakajać swoje potrzeby nawet zbytkownie. Nie dziwna więc, że przy takich wygodach, takiem pańskiem życiu, przychodziły mu od czasu do czasu i pańskie zachcianki, a to tembardziej gdy sam trzymał się dzielnie, tj. zdrowo i młodo, — jego niegdyś przystojna Ryfcia zaś, dziś już matka kilkorga dzieci, ogromnie się roztyła i podstarzała.

Otóż będąc raz w interesach handlowych we Lwowie, poznał w jednej z budek sodowych nimfę (która była niegdyś kasyerką kawiarnianą) Ludwikę G. kokietkę wprawną i bardzo już w tym względzie doświad-

czoną. Ta widząc że nasz Gecel starannie po niemiecku wystrojony, upstrzony złotym, grubym łańcuchem i mnóstwem cennych wiszadełek tudzież kilkoma kosztownymi, brylantowymi pierścieniami, zapałał ku niej gorącym afektem, a domyślając się w nim bogatego kupca, — nie odepchnęła go od siebie, — przeciwnie rozpoczął się między nimi bardzo czuły i szczery romans, dla którego Gecel swój pobyt we Lwowie aż do 10 dni przedłużył. Mając wyjeżdżać, żal mu było zostawić rozkoszną dziewuchę na uciechę drugich, zaproponował jej więc, by do Borysławia się przeniosła i tam założyła garkuchnię dla intelligentniejszych robotników fabrycznych, na co on jej funduszów udzieli. Sama nie ma się trudzić, lecz być tylko panią, a kucharka i sługi będą ją wyręczać, by się nie męczyła. Fundusz udzielony jej na ten cel w kwocie 300 Zł. a. w. miała mu zwrócić bez procentu do lat trzech w kwartalnych ratach z dołu. Jak widzimy, więc nasz Gecel nawet w sprawach sercowych nie zapomniał być prawdziwym „geschäftsmanem borysławskim“ a mimo tego Ludwika G. poszła chętnie na ten lep i osiedliła się jako restauratorka w Borysławiu, a interes szedł jej świetnie.

W trzecim roku pobytu w Borysławiu, w czasie którego nasz „kapitan“ odwiedzał ją pilnie choć sekretnie i pod pozorem interesów pieniężnych i gdy już dwie trzecich części zaliczonego jej kpitału napowrót ściągnął czyli odebrał, zwierzyła mu się Ludwika, iż za kilka dni nadchodzi termin, w którym nie może

być w Borysławiu, by siebie i jego wobec ludzi i żony nie narażać, zatem do Lwowa lub Stryja w tym celu na 3 — 4 tygodni wyjechać musi. — Myśl ta nie zgadzała się jakoś z planami Gecla, oświadczył jej przeto, że za dwa dni jedzie właśnie do Wiednia w interesach handlowych, daleko praktyczniej więc będzie, by tam z nim wyjechała i tam w oddaleniu wśród zupełnie obcych, nieznanych ten termin odbyła. Płocha Ludwika, której ta podróż i widzenie Wiednia bardzo czarująco się uśmiechały, — przystała zaraz na to i już na drugi dzień wyjechała sama do Chyrowa, gdzie po 24 godzinach przybył Gecel i wspólnie dążyli do Wiednia. Tu ulokował ją zaraz trzeciego dnia u jakiejś wdowy, gdzie rzeczywiście porodziła piątej nocy wcale pokaźnego syna. W ósmym dniu pobytu we Wiedniu, zawiadomił Gecel Ludwikę, że wskutek otrzymanych z domu telegramów musi niezwłocznie wracać, — zostawia ją więc w opiece pana F. swojego dobrego znajomego i przyjaciela (którego jej równocześnie przedstawił) i ten gdy wyzdrowieje i będzie zdolną do podróży jadąc do Drohobycza zabierze z sobą. — Tak się też stało, Gecel wyjechał a nowy opiekun p. F. odwiedzał ją codziennie, okazywał wielką troskliwość i życzliwość i znosił różne upominki posiadłszy całe jej zaufanie.

Po pięciu tygodniach Ludwika czując się zupełnie zdrową oświadczyła p. F., że zwiedziwszy już i Wiedeń, pragnie wrócić do domu. Uprzejmy i uczynny F. przystał na to i w kilka dni później był już z nią

w drodze. W podróży spostrzegła się Ludwika, iż ta trwa już znacznie dłużej jak przedtem, a zaniepokojona tem pytała o powód. Słodki, uprzejmy p. F. odpowiedział jej na to, że po drodze musi załatwić bardzo ważny i pilny interes z pewną fabryką i dlatego musiał obrać tę dłuższą drogę, jednak z tamtąd pojadą już wprost najkrótszą linią do Galicyi. Uspokojona tem tłómaczeniem Ludwika, ujrzała się następnego dnia w jakimś dużem wspaniałem mieście nad morzem, a po strojach, które znała z obrazów, poznała że jest w Turcyi i istotnie znajdowała się w Konstantynopolu. Zawieziono ją w jakąś ciasną, brudną uliczkę, w której rodzaj gospody był położony i tam wysiedli oboje. Tu dopiero spostrzegła się, że padła ofiarą podstępu, tembardziej gdy późno wieczorem zjawił się z p. F. jakiś okazały Turczyn, który przypatrzywszy się jej bliżej wyszedł z F. do sąsiedniego pokoju i tam dość długo rozmawiali. Wszedłszy napowrót do pokoju Ludwiki leżącej na wybijanej, niskiej ławce, zmęczonej i zdesperowanej co się z nią dzieje, kazał jej F., by z tym Turkiem poszła i tam do jutra została, on bowiem musi niezwłocznie na kilka godzin w interesach handlowych wyjechać, ją tu samą w tym domu pozostawić nie może i dlatego powierza do jutra temu poważnemu i bardzo zacnemu Turkowi, który jest jego znajomym. Teraz dopiero otworzyły się Ludwice oczy co się święci, — zebrała więc wszelkie siły i stanęła oporem. Na dany znak weszło jakichś czterech strasznych drabów, zatkali jej usta, związali jak owcę i gdyby opo-

wite dziecię wynieśli na rękach za tymże Turkiem, który ją oglądał i dopiero u niego w domu uwolniono ją z więzów. Tu zamknięta w osobnej celi o silnie okratowanem w głąb ogrodu wychodzącem oknie, wybuchła płaczem żalu i rozpaczy.

Jak się nasi czytelnicy już pewnie dorozumieli, ten p. F. (mniemany przyjaciel Gecla) był to prosty handlarz dziewcząt, który nieszczęsną Ludwikę G. wywiózł za porozumieniem do Konstantynopola i tam sprzedał ją Turkowi do haremu.

W tej niewoli pozostawała przez trzy miesiące i dopiero następujący przypadek dopomógł jej do ujścia. W dniu 13 czerwca roku 187..., wybuchł w tej wąskiej, ciasnej uliczce, przy której stał dom niewoli Ludwiki silny pożar a podsycany podmuchem wiatru, ogarnął w okamgnieniu wszystkie domy w około. W tem gwałcie i ogólnem przerażeniu wypuszczono niewolnice haremowe na dziedziniec obszerny, z którego Ludwika korzystając z popłochu, — umknęła w drugą sąsiednią a stąd na dalszą okazałą ulicę. — Biegnąc bezwiednie i pełna obawy, by ją nie przytrzymano, ujrzała z daleka jakiegoś poważnie kroczącego pana, ubranego po europejsku, przypadła więc doń a padłszy mu do nóg jęła błagać, by ją ratował.

Tenże w języku niemieckim zapytał co za jedna i czego żąda? Umiejąc trochę po niemiecku opowiedziała mu pospiesznie, wkrótkości skąd jest i co ją spotkało.

Ten zrozumiawszy o co jej chodzi, kazał iść za sobą i niebawem stanęli przed okazałym gmachem ambasady austryackiej. Jak się później pokazało, był to wyższy urzędnik poselstwa niemieckiego, który zostawił ją poselstwu austryackiemu. Toż spisało z nią obszerny protokół, zatrzymało u siebie a papiery posłano do kraju dla sprawdzenia tożsamości osoby i jej przynależności.

W kilka tygodni nadeszła urzędowa odpowiedź z Wiednia potwierdzająca, że Ludwika G. jest austryacką poddanką, pochodzi ze Lwowa i że należy ją odesłać do kraju, matce we Lwowie zamieszkałej, będącej wdową po wysłużonym woźnym sądowym. W drodze przymusowej więc, czyli tak zwanym „szupasem“ odstawiono ją przez Węgry do Lwowa i tu oddano matce.

Po kilku dniach wypoczynku, nie mając odwagi wracać do Borysławia, w którem jak o tem dobrze wiedziała, Gecel rej wodził i mógł jej tam wyrządzić znów jaki despekt, — napisała doń obszerny list, wzywając go, by niezwłocznie przybył i rzecz całą jakoś uporządkował.

Gdy na drugi i trzeci list Gecel milczał uparcie, wtedy udała się Ludwika G. do słynnego wówczas we Lwowie pokątnego adwokata K. i wytoczyła pozew przed sądem. Gecel otrzymawszy wezwanie sądowe udał się przez swojego prawnego doradcę p. dr. R. do zastępcy Ludwiki tj. do K. a ten wziąwszy dobrą łapówkę pokierował sprawą swej klientki Ludwiki tak, że się nie utrzymała. Ostatnie ciężkie przejścia,

zgryzoty, moralne i fizyczne cierpienia, — podkopały zdrowie Ludwiki do tego stopnia, iż po kilku tygodniach słabości piersiowej, zakończyła swój burzliwy żywot w szpitalu lwowskim. Przybyła znów jedna ofiara więcej, którą elastyczne sumienie Gecla jak wiele innych na swoje barki wzięło.

*

*   *

XIII.

Pan N. właściciel dóbr K. obok Borysławia, (które dziś są własnością też wzbogaconych nafciarzy izraelitów), miał ten niemiły wypadek, że zastrzelił swojego lokaja, który się nań rzucił. Wieść ta lotem błyskawicy rozeszła się w całem sąsiedztwie, naturalna więc. że i Gecel o niej wiedział. Gdy następnego dnia o późnej nocnej godzinie pan N. zjawił się w domu Gecla z propozycyą, by sobie kilkaset sągów drzewa kupił, — domyślił się zaraz, że sprzedający chce pewnie ujść za granicę, więc potrzebuje pieniędzy, a stąd prosty wniosek, że przy tem można zrobić złoty interes. Po dłuższej gawędce i targach stanęło na tem, iż kupił od pana N. kilkaset sągów drzewa za 2.500 złr. dla swoich dystylarni i topiarni, wyliczył zaraz *à conto* 500 złr. a. w. — resztę zaś tj. 2.000 złr. a. w. miał mu dać dopiero wtedy, gdy wszystkie zakupione sągi z lasu wywiezie. Gecel wytłómaczył panu N. bardzo ładnie i praktycznie to ostatnie zastrzeżenie tj. wypłatę reszty dopiero po za-

braniu sągów z lasu. Najpierw, że nie ma na tyle pod ręką gotówki, a powtóre, iż poszukujący go sąd może wzbronić wywiezienia z lasu, położyć sekwestr na dobra i t. p. — trudna więc, by płacił z góry za to co mu wydanem nie będzie. — Gdy jednak wyprowadzi zakupione drzewo, natenczas wypłaci co do centa resztę należytości, bądź odsełając mu takową gdzie mu poleci, bądź komuś trzeciemu, którego pan N. wskaże. Ten ostatni potrzebując na drogę grosza, przytem sam znany z uczciwości niepodejrzywając podstępu i szelmostwa Gecla, wziął 500 złr. a. w. wystawił mu kontrakt sprzedaży na całą ilość sprzedanych sągów, — ustnie zaś umówili się, że Gecel odeszle mu resztę pieniędzy tam, skąd mu listownie swój adres poda.

Pan N. wyjechał rzeczywiście za granicę uchodząc przed paragrafami ustawy karnej—a Gecel zwinął się tak szybko, że do trzech miesięcy wywiózł z lasu wszystkie zakupione sągi. Dopiero po upływie roku, zgłosił się pan N. do Gecla listownie, by mu pieniądze odesłał. Gdy wszelkie urgowania listowne i przez znajomych były bez skutku, wtedy zagroził mu, iż przez swego adwokata wytoczy mu proces. Gecel uśmiechnął się na to szyderczo i oświadczył, że przeciw wytoczeniu pozwu nie ma nic do zarzucenia, radzi panu N. jednak, by we własnym dobrze zrozumianym interesie nie czynił tego, gdyż wtedy musiałby sądowi wyjawić to, z czem mu się p. N. owej nocy w swojej szlacheckiej szczerości i prostoduszności

się zwierzył, — a co w sąsiednim alkierzu siedzące kobiety słyszały i poświadczyć mogą.

Na takie *dictum acerbum* zamilkł biedny pan N. a Gecel podziwiał znów swój spryt, którym tak tanio do 2.000 złr. a. w. przyszedł.

*
* *

XIV.

Fiszel B. jeden z wybitniejszych koczynierów borysławskich, w ostatnich latach wskutek starości już do cięższej pracy niezdolny, — przyszedł raz na ciekawy pomysł, by Gecla, w którego bandzie koczynierskiej przez dłuższy czas pozostawał, sztuką jaką on sam jako ich kapitan walczył, podskubać na kilkadziesiąt papierków. Można sobie wyobrazić zdumienie Gecla, gdy mu woźny doręczył pozew sądowy, którym go Fiszel B. o dłużną kwotę 50 złr. w. a. zapozwał. Zdybawszy skarżącego na ulicy, jął Gecel nań krzyczeć i wyzywać co od niego chce, co to za napaść? Fiszel B. z najzimniejszą krwią odparł mu na to:

„Wus toigt mir der schmiss, gibts ranyschel, oder wir werden beim termin“, odwrócił się i poszedł dalej.

W dniu terminu sądowego staje Gecel z swoim adwokatem, a Fiszel B. z sześciu świadkami, samymi koczynierami, którzy mu przed sędzią potwierdzają i przysięgę na to ofiarują, że byli przy tem jak Gecel z Fiszlem B. po obliczeniu się z nim, oświadczył ostatniemu wobec nich, że ma u niego 50 złr. w. a. i że mu takowe za kilka dni zapłaci. — Gecel widząc

i słysząc to, a znając ich dobrze i wiedząc z własnej praktyki, iż ci łotrzy za kilka szóstek zdolni do złożenia przysięgi a nawet i do czegoś gorszego, prosi sędziego o półgodzinną zwłokę do tentowania z pozywającym ugody. Sędzia zezwala, Gecel targuje się z Fiszlem, po czem spisano sądową ugodę, wedle której pozwany spłacił zaraz powodowi gotówką wobec sądu 20 złr. a. w. a ten ostatni zrzekł się do Gecla wszelkich dalszych pretensyi. Fiszel udał się zaraz z swoimi zacnymi świadkami w Drohobyczu do szynku zwanego „pod szmatą“ i sprawił im wesołą bibę, — a Gecel irytował się, że choć raz w życiu padł ofiarą tej samej broni, którą całe życie walczy i która jeszcze nie raz przeciw niemu się obróci.

*

* *

XV.

Pewien szlachcic owej słynnej, uroczej ziemi sanockiej, naczytawszy się tyle artykułów w czasopismach i osobnych broszurach o konieczności zajmowania się przemysłem krajowym, rzucenia się na to pole i t. p. postanowił pójść za tą radą a to tembardziej, że górska wioska jaką posiadał zbyt szczupłe dawała dochody. Zaciąga więc u swojego arendarza dość znaczną pożyczkę, (Towarzystwo kredytowe ziemskie, jakiś bank i jeszcze jakieś inne pożyczkowe instytucye już dawno tabulę zajęły) — i z tą udaje się do Borysławia po wymarzone złote runo. — Tu przybywszy rozpoczął, gdyby jaki strategik, badać teren swojej przyszłej działalności, która mu wobec kraju sławę i miliony przynieść miała. Gecel ujrzawszy jakiegoś wąsatego, dość okazale się prezentującego przybysza, polecił swoim sprytnym ajentom wyśledzić co zacz i czego tu szuka? Już drugiego dnia wiedział wszystko dokładnie i wydał swojemu zaufanemu Lejzorowi S. odpowiednią instrukcyę. — Tenże jawi się po kilku dniach u naszego Sanoczanina w roli faktora i przyrzeka za dobre wynagrodzenie wyjednać to, że znany ze sprytu, szczęścia i majątku Gecel, przyjmie

go do spółki. Szlachcicowi. który już wiedział o sławie Gecla, przypadła ta myśl bardzo do smaku, a po kilku dniach zawarł już z nim kontrakt spółki wobec czterech świadków (rozumie się samych geclowskich czeladników). — Kontrakt ten zbyt jednostronnie na rzecz Gecla spisany, nie dał nikomu ze zdolnych a sumiennych prawników przejrzeć i osądzić, działał tu w swoim zapale jak to dziecko. któremu lada błysk sprawia radość i zaspakaja zachcenie.

Nowy szlachecki apostoł popierania przemysłu krajowego w spółce z izraelitą, wyliczył Geclowi zaraz 4.000 zł. a. w. — zaś 3.000 złr. zobowiązał się do trzech miesięcy złożyć. — A że Gecel wiedział i przewidział z góry, że biednemu i już teraz zrujnowanemu właścicielowi wioski trudna będzie dotrzymać obowiązku złożenia w tak krótkim czasie 3.000 złr. a. w. cieszył się z góry na to, że naiwnego Sanoczanina wziął tak sztucznie na lep. — Trzy miesiące upłynęło a nasz biedny wspólnik Gecla mimo usilnych starań i rozlicznych zabiegów nie mógł się zdobyć na zgromadzenie i uiszczenie tej kwoty. Wtedy rozpoczął Gecel przeciw niemu rodzaj podjazdowej wojny. Traktował go lekceważąco a nawet ubliżająco, nacierał coraz gwałtowniej o dotrzymanie warunku kontraktu spółkowego. To doprowadziło nareszcie do bardzo smutnego zajścia tj. do tego, iż arogancki Gecel znieważył go czynnie i swoim koczynierom kazał poprostu wyrzucić.

Teraz dopiero otworzyły się biednemu szlachcicowi oczy, że strzelił grube głupstwo. Nie tracił jednak fantazyi,

że w drodze sądowej nauczy go rozumu i odbierze swoją wkładkę z grubą prowizyą. Jeden z adwokatów przyjął sprawę, prowadził ją przez lat ośm i przegrał we wszystkich instancyach z kretesem. Nieszczęśliwy wspólnik Gecla został doszczętnie zrujnowanym, a nasz kapitan borysławskich koczynierów zagarnął znów swoim sprytem z taką łatwością 4.000 złr. a. w.

Wioskę górską dzierży dziś jako właściciel jej ex-arendarz, a nieszczęśliwy szlachcic może sobie poczytać jeszcze za wielkie szczęście, iż za protekcyą brata żony otrzymał u jednego z krakowskich panów posadę ekonoma, na której dotąd pozostaje.

*
*   *

XVI.

Jednym z ostatnich figlów przewrotnego Gecla, było zawiązanie z wszystkiemi właścicielami borysławskich kopalń wosku ziemnego t. z. „ring“ tj. stowarzyszyli się w jedno koło, które postanowiło jedne ceny na wosk ziemny i żadnemu z nich nie wolno było sprzedawać poniżej ceny przez nich samych ustanowionej. Powód ku temu był ten. iż w ostatnich czasach wosk ziemny spadł znacznie w cenie. chciano zatem przez taką solidarność podnieść ją i zmusić do tego zagraniczne fabryki wyrabiające z wosku ziemnego różne przedmioty, by takie a nie inne ceny płaciły.

Każdy z członków tego „ringu“ złożył do rąk Gecla znaczną kaucyę, iż solidarności nie złamie. — Że Gecel na tej operacyi wyszedł najlepiej to całkiem naturalnie, sam bowiem mając najwięcej wosku ziemnego zrobił też najświetniejszy interes sprzedawszy go po znacznie wyższej cenie.

Lecz takiemu kapitanowi borysławskich koczyniérów, było tego jeszcze za mało, chodziło jeszcze o coś więcej, gdyż o wyprowadzenie kilku wybitniejszych spólników tego koła w pole.

Każdy zapyta: „no! a toż już nie tak łatwa sprawa, przecież i inni z tych członków „r i n g u“ muszą być obrotni, sprytni a takich nie tak prędko można znów okpić“?

Prawda, lecz dla Gecla, tego geniuszu pomysłów iście szatańskich i ta sprawa nie była tak trudną. Widząc, że wszyscy dotrzymują wiernie, postarał się o stampiglę (pieczęć firmy) trzech z nich i wyprawił trzy listy do firm zagranicznych z którymi handlował, ofiarując im wosk ziemny po cenie o 2 złr. 50 ct. a. w. na metrycznym cetnarze niższej, aniżeli „k o- ł o r i n g o w e“ ustanowiło. — Podpisawszy na każdym z tych listów niemal z fotograficznem podobieństwem jednego z tych, którego stampiglą list był zaopatrzony, miał już sprawę wygraną, a był pewnym, że ci którzy mu stampigle ich dostarczyli, listy popisali i ich podpisy naśladowali, pewnie go nie zdradzą.

W kilka dni później otrzymuje Gecel zawiadomienie od owych fabryk, iż odtąd tylko o 2 złr. 50 ct. taniej za wosk ziemny płacić mu mogą, gdyż na taką cenę otrzymali ofertę od borysławskich producentów pp. N. N. N. Z takim dowodem w ręku, opada ich i robi im najstraszniejszą awanturę, że złamali umowę koła, zdradzili „r i n g“ i t. p. a wskutek tego oświadcza, że stracili kaucye, które razem wynosiły 6.000 złr. a. w.

Można sobie wyobrazić gwałt, krzyk, formalną wojnę jaką to wywołało między członkami „r i n g u“, a osobliwie przestrach i desperacyę tych trzech, któ-

rym Gecel tak niewinnie zaharapczył kausye. Niepomogły tłómaczenia, zaklęcia wszystko to było darenme, gdyż autor tego podstępu był nieugiętym i nie cofał się nigdy z połowy drogi.

To dało powód do trzech procesów przeciw Geclowi rozpoczętych, ten jednak pokpiwa sobie z nich, twierdzi, że procesa te wygra i że mu jeszcze grube koszta sądowe zapłacą.

Ha! być może wszak ten mistrz w szelmostwach dokazał już nie jednej, daleko trudniejszej sztuki, — wyprowadził już nie jednego na manowce, dlaczegóżby i w tej sprawie nie miał być zwycięzcą i tryumfować.

KONIEC.

